

SUBLOKATOR

JANUSZ (KRAWIEC) WIŚNIEWSKI



SUBLOKATOR

Kończyłem dwadzieścia dwa lata, gdy, po przeszło trzyletniej nauce zawodu, zdałem w końcu egzamin czeladniczy. Oczekując na tę chwilę, przede wszystkim liczyłem na to, że w końcu podniosą się moje zarobki i, nareszcie odmieni się mój biedny los. Dotychczas, mieszkając kątem przy rodzinie, ledwie wiązałem koniec z końcem. Tak, teraz zacząłem zarabiać tak jak inni krawcy - „od sztuki”, byłem czeladnikiem. Od tego momentu, mój materialny status wyraźnie pisał się ku górze. Najwyższy czas zakręcić się za wynajęciem kawalerki albo, chociaż samodzielnego pokoju. Moje ogłoszenia w Dzienniku Bałtyckim i w Głosie Wybrzeża; „Kawaler poszukuje samodzielnego pokoju” poskutkowało na tyle, że trzymając w ręku kartkę z zapisanymi adresami, już po raz piąty wdrapuję się po schodach - tym razem, trzypiętrowej przedwojennej kamienicy, prawie w śródmieściu Gdyni. Naciskam dzwonek do obcych mi drzwi, otwiera kobieta o kruczoczarnych, spiętych gumką w kitek u tyłu głowy włosach, ubrana w rozpiętą pod szyją granatową koszulową bluzkę i szaro-ciemną prostą spódniczkę za kolana, której fałd mocno trzyma się około pięcioletnia dziewczynka.

Dzień dobry. - Ja w sprawie wynajęcia pokoju - czy ogłoszenie jeszcze jest aktualne? Proooszę, niech pan weeejdzie... - kobieta dłuższą chwilę przygląda mi się, aż w końcu, zapraszającym gestem robi mi przejście. Przechodzimy przez długawy przedpokój, na którego jednej ścianie na zmyślnie rzeźbionym wieszaku, wiszą jakieś wierzchnie okrycia, torebka, parasolka... Przeciwległą ścianę zdobią afrykańskie maski i duże prostokątne lustro w masywnych ramach.

- Proszę, proszę może do gościnnego... - kobieta zapraszająco, otwiera jedno z trzech zamkniętych drzwi. Mimo, że do zmierzchu jeszcze chwila, zawieszony na środku dwudziesto parometrowego pokoju żyrandol, błyska jasnością pięciu kloszy, momentalnie wygrywając z nikłym światłem dnia, jeszcze próbującym przedostawać się przez dwa okna zasłonięte koronkowymi firankami i fałdami bocznych zasłon. Między oknami, na wysokim stoliku sporawych rozmiarów radio. Pod jedną ze ścian złożona kanapa, przy niej zasłany serwetką niski stolik, na nim wazonik, w nim jeden goździk obwiązany czerwoną wstążeczką syci się wodą. Pośrodku drugiej ściany, ciężki, rzeźbiony, przeszklony u swej górnej części kredens wypełniający kryształami i szkłem użytkowe. Na kredensowej półce, wśród afrykańskich figurek z hebanowego drzewa kominkowy zegar. U wejścia do pokoju, po prawej stronie trzydrzwiowa szafa z dużym lustrem. Na środku stół, sześć krzeseł, pod nimi, na podłodze, pyszni się jaskrawością kolorów dywan. Na ścianach, gdzie tylko jest wolne miejsce, w podobnych do siebie ramach, wiszą zdjęcia zapewne, opowiadające o pobycie ich twórcy w różnych stronach świata, na różnych kontynentach. Mój wzrok jednak, zatrzymuje się dłużej, na ślubnym portrecie. Rozpoznaję na nim moją właścicielkę mieszkania. Młodziutka, chyba niemająca jeszcze dwudziestu lat, ładniutka.

- To mógłby być pana pokój... - kobieta marszcząc brwi, intensywnie mi się przygląda i oceniając mnie zapewne po moim szczeniackim wyglądzie, nie czeka na moją reakcję tylko szybko dodaje: - Albo, przejdźmy do drugiego, mniejszego... Zawracam na pięcie za

właścicielką i za dziewczynką, ciągle trzymającą się fałd spódniczki matki. Stając w progu rozglądam się; Drugi jest rzeczywiście dużo mniejszy: szafa, rozkładany tapczan, półki wypełnione dziecinnyymi zabawkami i książeczkami, stolik, po bokach dwa krzeselka, zafirańczone okno wychodzące na podwórze...

I.... co? Jak się panu widzi ten?

- A łazienka?

- Jest, jest, proszę - wycofujemy się z pokoiku i, kobieta otwiera drzwi na wprost korytarza. Wanna, nad nią sitko prysznic, kibel, obok którego pyszni się pralka Frania. Nad umywalką lustro z półką, na której w kubeczku dwie szczoteczki do zębów, szczotka, grzebień, jakieś tubki, buteleczki, słoiczki - kobieca toaletowa chemia. W rogu pomieszczenia u samej góry walec bojlera – czyściutko.

Stoimy w przedpokoju, kobieta przyklejonej do siebie córeczce rozczesuje palcami gęste, czarne, długie włosy i zwraca się do mnie bezosobowo: - Uczy się jeszcze, czy już... - po chwili mityguje się i dodaje - Czy już pan pracuje?

Ta początkowa bezosobowość pobudziła moje „Ja”. - Już pracuję! I wołałbym jednak ten większy pokój! - mówię nie wiedzieć, dlaczego podniesionym głosem, a w cichości ducha prawie szepczę do siebie: *„Facet, przecież ten mały pokoik mógłby być, jak ulał! Przecież do tej pory rozkładałeś sobie łóżko w kącie kuchni, z reguły wypełnionej rodziną. Facet, nie zgrywaj się”* .

Jak już wam wspomniałem, w tym czasie mam prawie dwadzieścia trzy lata i... - No, co ja kurka, mam ze sobą zrobić? - Wyglądam ciągle jak gówniarz przed maturą. Jestem niewysoki, szczupły (może nawet wychudzony), niebieskie oczy, ciemne dłuższe włosy i... z byle przyczyny – ciągle krwicie pąsowieją mi policzki – Burak!

- Proszę, w takim razie wróćmy jeszcze raz do gościnnego - ale... - kobieta nie kończy, a ja, domyślając się, o co jej biega - zuchwale, dalej nie dopytuję się o wysokość komornego. Ponownie jesteśmy w „gościnnym”.

- Na tym tapczanie bym spał? Rozkłada się? – Jednym, zdecydowanym ruchem, podnoszę rozkładaną część, siadam coraz głębiej, podskakuję – Dosyć, dosyć miękko... – bąkam i czuję, jak policzki już mi płoną - niczym cysterna z benzyną.

To..., co? - Decyduje się pan na ten, gościnny? – Jeszcze raz, trochę z niedowierzaniem dopytuje właścicielka mieszkania.

- Tak, przejdźmy dooo... Ile będę płacił? - już opamiętując się, dodaję ze skruchą: - Od razu pani powiem, że mnie całymi dniami nie będzie, pracuję do późna. W zasadzie za dnia, będę pomieszkiwał tylko w niedzielę...

- Papierosy pan pali? – Booo, moja Zosia...

- Nie, nie palę – wszedłem od razu w słowo, bo sam w tym czasie również nie znosiłem papierosowego dymu. - Tooo, ile...? – jeżdżąc oczami dookoła pokoju dopytuję ponownie.

- Jednak gościnny... - wyszeptała z nutką niedowierzania ni to do mnie, ni to do siebie pani właścicielka. - Dobrze, my z Zosią zmieścimy się w mniejszym. I tak, najczęściej przebywamy w kuchni i w sypialni. Kuchnię też będzie miał pan do dyspozycji, a jak się poznamy, polubimy to... I ja coś na niedzielę może panu upitraszę...

-To, ile będzie wynosiło komorne? – kurka, niech się w końcu dowiem!

Widzi pan, do tej pory żyliśmy dostatnio, nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek mnie spotka to, że będę zmuszona wynajmować komuś pokój. Mój mąż, przed dwoma latami zginął. Pływał, był mechanikiem, na dole w maszynie... - Wypadek...A pan, czym się pan para? - Mogę, mogę... pana dowód?

- Jestem krawcem, czeladnikiem w prywatnym zakładzie, jak już wspomniałem, w domu mnie prawie nie będzie - pracuję od rana do wieczora. To, ile miesięcznie bym pani płacił? – już się naprawdę niepokoję, że mogę nie podołać.

Wie pan, co... - gospodyni odczytując dane z mojego dowodu osobistego – jednocześnie spogląda na mnie spod zmarszczonych brwi i powtarza: Wie pan, co... Panie Piotrze Kowalski... Umówmy się tak. Najpierw Pan z nami z miesiąc pomieszka... Potem zobaczymy - po miesiącu - ok.? Naprawdę skończył już Pan dwadzieścia trzy lata?! – kobieta dalej spogląda raz na mnie, raz na moją datę urodzenia w dowodzie, cały czas nie kryjąc zdziwienia.

- Dzisiaj jest czwartek. Mogę wprowadzić się już w sobotę?

- Tak, przygotuję pokój na sobotę. W najbliższy poniedziałek, będzie akurat pierwszy października. Zatem, będziemy rozliczać się po miesiącu zamieszkania - zawsze ostatniego dnia miesiąca. – Ok. zgoda? - Czy powinienam pana zameldować?

- Chyba nie... niekoniecznie, jestem zameldowany u ciotki. To..., do widzenia, w takim razie, do soboty. Pocałowałem w rękę moją przyszlą gospodynię i z uśmiechem zacząłem ścisnąć i rozluźniać palce prawej dłoni - w kierunku małej dziewczynki. Do soboty, pa, pa, mała...

- Nie jestem mała. Mam na imię Zosia. Jestem w starszakach! I chodzę na balet!

- Och, przepraszam Panno Zofio! – spróbowałem pogłodzić ją po włosach, ale zrobiła unik, chowając się za szarą flanelową spódniczkę matki.

W sobotę będę dopiero wieczorem, po dziewiętnastej – praca... Do widzenia Paniom!

Schodząc po schodach jakoś tak czułem, że tym razem dobrze trafiam. Sympatyczna wydała mi się zarówno gospodyni, jak i ta mała.

Wprowadzając się nie miałem ze sobą za wiele kłopotów: kołdra, trochę pościeli, parę koszul, (już!) dwa garnitury, parę portek, oprócz kurtki, którą miałem na sobie, jakieś tam paletko, dwie pary butów, bielizna, trochę książek. No i... przytaskałem dla Zosi wielgachną lalę. Kupiłem ją za niebagatelną wtedy dla mnie cenę w Peweksie - a niech tam.

Zaczął się nowy etap mojego życia. Rzeczywiście w pracowni byłem coraz lepszym fachowcem, więc i zarabiałem dużo więcej. Jedyne... moja dotychczasowa samotność. Brakowało mi nie tylko najbliższej rodziny, ale przede wszystkim kumpli, przyjaciół. Pracując od rana do późnego wieczora, nawet w soboty, nie miałem najmniejszych szans poznania kogokolwiek. Bywało, że w niedzielę błąkałem się po ul. Świętojańskiej, przemierzając ją w tę i z powrotem. Nieraz wchodziłem do kina. Do kawiarni, w tym czasie wstydziłbym się nawet zaglądnąć – i co, miałem tam siedzieć sam przy stoliku? W dodatku z tą moją purpurową gębą? Wojsko na razie, jakoś nie zastawiało na mnie sieci. Potem, mieszkając już u wdowy dłużej, gdy się w końcu o mnie upomniało... Okazało się, że daleki krewny pani Leokadii był oficerem w randze podpułkownika i sprawował znaczącą funkcję w WSW i.... dzięki właśnie mojej gospodyni...

- Taaak, tak w ogóle, to naprawdę zaczynałem mieć fart! Dobra praca, mam gdzie fajnie i wygodnie mieszkać, no i, na dodatek, właścicielka mieszkania jest tak dobra dla mnie, że prawie mi matkuje. No, ok. - „matkowaniem” tego nie powinienem nazywać. Leokadia, kobieta jeszcze przed czterdziestką, teraz już, coraz mniej przeżywająca stratę męża wdowa z małą córeczką, stała się dla mnie...

Z pracy do „domu” wracałem późnym wieczorem, gdzieś około dziewiętnastej, dwudziestej, często obłowiony po drodze zdobycznymi zakupami ze sklepów (pamiętajmy, że w tamtych czasach, o smaczniejszy prowiant nie było tak łatwo). Już w drzwiach, czekały na mnie zawsze uśmiechnięte, uradowane matka i jej córeczka... z lalką ode mnie na rękach. Razem jedliśmy przyrządzony przez Leokadię wieczorny posiłek, bywało, że razem kładliśmy spać Zosię - bo ona o to bardzo mnie prosiła, ale... Chyba, nie tylko mnie zależało na tym, żeby Zosia w końcu zasnęła... Zapewne, spodziewacie się, że ja zboreźnik, tu w tym miejscu, opiszę ze szczegółami „fragmenty” - jak to „mi było u wdówki” – NIE!

Za to, opowiem Wam, jak bardzo Zosia przywiązywała się do mnie, jak bardzo chciała widzieć we mnie prawdziwego tatę! I to nie takiego tatę, który ciągle był na morzu, nie tego nieżyjącego tatę, istniejącego już tylko w jej marach. Zosia, chciała mieć tak jak inne dzieci -

tatę prawdziwego! Padło na mnie i... Muszę wyznać, że pochlebiało mi to, a nawet, chyba bardzo tego potrzebowałem, w tamtym moim samotnym życiu. Zosia była uroczą, zabawną przylepką; siadała mi na kolanach, ścisła mnie za szyję, po dziecięcemu obdarowywała pocałunkami. Targała mi włosy, pociągała za nos, śmiała się do rozpuku, gdy moja grdyka udawała windę. W wolne od pracy dni - a takimi były niestety tylko niedziele, chodziliśmy w trójkę do kościoła, na spacer, miałem na nią baczenie, gdy na podwórku bawiła się z dziećmi. Byłem dumny z tego, że nauczyłem ją jeździć na rowerze, (który dostała ode mnie na siódme urodziny). Taaak, prawie przez cztery lata z tymi dwiema kobietkami naprawdę miałem błogie, miłe życie, aż... Pana pułkownika, kuzyna Leokadii, za machlojki na mordę wyrzucili z WSW - a mnie po dochodzeniach przed wojskową żandarmerią - chciał, nie chciał, w końcu ubrali w kamasze. Pod koniec prawie trzyletniego pobytu w wojsku, niestety, listy od „moich najbliższych” zaczęły przychodzić coraz rzadziej, rzadziej, aż w tym ostatnim...

Więcej już nie zobaczyłem pani Leokadii. Mieszkanie zajęli inni lokatorzy, a mój worek z rzeczami czekał na mnie w komórce ciecica. Z ostatniego listu dowiedziałem się, że Leokadia wychodzi za mąż, za statecznego, bogatego wdowca - który zabiera ich gdzieś tam, hen w głąb Polski, a może i nawet zagranicę.

Mijały lata... Historii mojego dalszego życia, wystarczyło mi na wypełnienie kart trzech tomów powieści. - Tak, ni z tond, ni z owad zacząłem pisać. Kto sięgnął po trzytomowe „Życie skrojone na miarę” to... wie o tym „Typku” wszystko. Nie umiałem wyprzeć się, gdy wszelkiej maści żurnaliści zarzucając mnie pytaniami, dociekali, wiercili mi w brzuchu: „Życie skrojone na miarę” - to pana biografia? - Czy wolno było panu tak siebie i najbliższych w tej książce obnażyć, obsmarować? Tyle tam zbrukanego seksu...

Dla mnie jednak, liczyło się to, że umiałem napisać powieść! Że „Życie skrojone na miarę” spodobało się krytykom, że było wyróżniane i nagradzane. Że miałem masę spotkań z czytelnikami, którzy bili mi brawo. Tak, oprócz krawiectwa, w którym osiągnąłem chyba sporo, stałem się pisarzem mającym w zanadrzu, następne napisane książki. Niestety, po śmierci mojej wydawcy (która we mnie uwierzyła), pojawiały się kłopoty z ich wydaniem. Zabawiając się zamieszczaniem na Facebooku. politycznych komentarzy, opinii, próbek moich mniejszych form literackich - spróbowałem bez wiary w cuda, na tymże Facebooku, poszukać pomocy w wydaniu moich następnych książek, zamieszczając prośbę:

Czy mógłbym nawiązać kontakt z kimś (myślę o literaturoznawcy), kto mógłby pomóc mi w wydaniu moich następnych książek, jak i ewentualnym oszacowaniu mojego literackiego dorobku? Warunki współpracy powiązane z wynagrodzeniem - do uzgodnienia. Kontakt przez priv...

Mijały tygodnie, już dawno zapomniałem o moim ogłoszeniu na Facebooku., aż któregoś dnia: Szanowny Panie, na Pana „Życie skrojone na miarę” natrafiłam zupełnie przypadkowo i przyznam, co rzadko czynię, że pochłonęłam je. Niezmiernie się cieszę, że znalazł się w końcu

w Polsce ktoś, kto potrafi pisać o sprawach seksu w tak naturalny, normalny sposób. Zazwyczaj są to opisy albo dość wulgarne i ostre (w nasiąkniętych dekadentyzmem debiutach wielu młodych pisarzy), albo efemeryczne, subtelne opisy romantycznych uniesień, niemających wiele wspólnego z tzw. normalnym życiem. Fascynuje mnie oczywiście cała powieść, ale ten aspekt zdecydowanie je wyróżnia - na plus - wśród masy innych książek na półce. Na Facebooku. wspomniał Pan o pochyleniu się nad Pana twórczością – literatura to moja dziedzina. Pomogłabym Panu bardzo chętnie, gdyby, jak u większości z nas, nie ten cholerny brak czasu. A z drugiej strony, po przeczytaniu Pana trzutomowego „Życia...” i wniknięcia na Pana stronę na Facebooku przyznam, że mnie Pan zaciekawia. Na priv. zamieszczam swój nr. tel.

Zadzwoiłem jeszcze tego samego wieczora. Pani Zofia miała miły tembr głosu kobiety w wieku... Biorąc również pod uwagę śmiałość wypowiedzianej na Facebooku. przez nią opinii na temat seksu w mojej książce... Nie, to nie mogła być „starsza pani” . Przez telefon rozmawialiśmy długawo o meandrach literatury, o tym jakim cudem ja znalazłem się w jej środku. Ciągłe nie odpuszczałem tematu pomocy przy wydaniu moich czterech następnych książkach. Pani Zofia jednak, nie mogła się zdecydować: - Pracuję teraz nad dwoma tomiskami. Nie wiem, kiedy znalazłabym czas dla Pana. Może, latem? Latem mam zamiar przyjechać do Gdyni. Moglibyśmy się wtedy spotkać i porozmawiać.

- Pani Zofio, tyle to ja nie wytrzymam bez Pani. Pozwoli Pani, że przyjadę do Wrocławia? Spotkajmy się, chociaż porozmawiajmy. Zatrzymałbym się w hotelu - spotkajmy się, choć przez chwilę.

- Dooobrze... - w komórce zabrzmiał wyrażający niepewną zgodę, wciąż miły głos kobiety w wieku...

Mam ułożone życie. Nieustannie prowadzę swoją pracownię krawiecką i, ciągle piszę. Teraz... pociągami ekspresowymi Gdańsk – Wrocław już wjechałem na wrocławski peron. Zbliża się wczesnowiosenny wieczór. Jestem w dyplomatce w kolorze miodu. Pod nią mam modnie skrojony dwurzędowy garnitur w widoczne prążki na szarej flaneli, „mediolańsko” zawiązany krawat, brązowe buty. W ręku dzierzę brązową teczkę. Wychodzę z dworca. Kierowcy każe stanąć „po drodze” pod kwiaciarnią, a potem, taksówka zawozi mnie nie pod któryś z wrocławskich hoteli – ale, na osiedle... Na ulicę... Pod blok numer...

To ja, Piotr Kowalski! - zbliżając usta do domofonu mówię głośniej – potem, stojąc już przy windzie naciskam przycisk. Winda wyszarpuje mnie z parteru, wystrzeliwując na dziewiąte piętro... W otwartych drzwiach stoi kobieta w wieku... Kruczoczarne, poprzetykane srebrem, spięte do tyłu gumką włosy odsłaniają czystą, bez makijażu urodę kobiety w wieku... Niezapięta pod szyją jasna koszulowa bluzeczka, na niej ciemniejszy, zapinany na guziki, ale rozpięty sweterek, luźno układające się na dość obłych biodrach szare, flanelowe spodnie.

- Zofia Hass, nieznane, nic niemówiące mi nazwisko, Wrocław... Mieszkanie, jak na „takie w bloku” jest dosyć obszerne, ale pokój, do którego weszliśmy, gdy ja już zdążyłem powiesić swój płaszcz w przedpokoju, jest zagracony, pełen książek leżących gdzie popadnie, poutykanych na różne półki, a nawet leżących na podłodze. Również ogromne biurko powinno spłoszyć ze wstydu z powodu nieładu – na szczęście dla biurka, nieładu „literackiego”.

- Wiem - bałagan, ale na nic nie mam czasu. Pracuję teraz nad przekładem z niemieckiego dwóch tomiszczy... Proszę, może pan spocznie tu, na fotelu... Uciekaj! Uciekaj kocie! Psik! Psik! Blanka! Psik! Kot majestatycznie, leniwie ustępuje mi miejsca. - Ta twarz...? Patrzę na kobietę, jednocześnie cały czas szacując ile może mieć lat... Pięćdziesiąt? – Nie, chyba tyle nie... Czterdzieści pięć...? Gdyby tak fryzjer, kosmetyczka, ładniejsze ciuchy... Zauważam, że kobieta idąc do kuchni nalać do wazonu wody, kuleje. Kot ma na imię Blanka...

- Blanka, Blanka... Mała Zosia... takim imieniem nazwała lalkę, którą dostała ode mnie... Świdruję kobietę wzrokiem – nieeee...

- Pan mieszka w Gdyni, ładne miłe miasto... Ja też urodziłam się w Gdyni, mieszkałam tam w dzieciństwie. Mój ojciec pływał, zginął na morzu. Potem mama wyszła drugi raz za mąż. Tu, do Wrocławia, ściągnął nas ojczym. Tu skończyłam liceum, studia, wyszłam za mąż... Jechaliśmy wartburgiem z ojczymem i mamą na pogrzeb siostry ojczyma. Była zima, ciężarówka jadąca naprzeciw nas wpadła w poślizg, czołowe zderzenie... Mama i ojczym siedzieli z przodu, ja spałam na tylnym siedzeniu. Oni zginęli na miejscu - ja jak pan widzi żyję, ale...- pani Zofia przestała uporządkowywać, nakrywać stół i podciągając lekko nogawkę spodni dokończyła: - Prawa noga, powyżej kolana - mam protezę. Rozwiodłam się. Hass nie chciał baby bez nogi, ha, ha. Żyję tu z książkami, zatopiona w przekładach i tłumaczeniach, zatopiona po uszy w literaturze. Moja kotka Blanka i książki – literatura i Blanka...

- Kiedy ten wypadek – dawno? Nie umiałem ukryć zaciekawienia, coraz bardziej byłem podekscytowany rozmową.

- Już, już robię herbatę. Może woli pan kawę?

- Nie, nie, o tej porze już kawy nie pijam. Dzięki, dzięki. Napijmy się herbaty.

- I.. Whisky? Kupiłam wiedząc, że pan przyjedzie - po przeczytaniu „Życia...” wiedziałam, że pan nie odmówi.

- Och, Pani Zofio, jest Pani przemiła. Whisky to dobry trunek. Do tej pory uprzyjemniał, a nawet ułatwiał mi życie... – mówiąc zaśmiałem się. Przepraszam, ale to ja powinienem przyjść tu do Pani z dobrą butelką. Nie pomyślałem, a może i nie śmiałem.

Było już dobrze po północy, a my paplamy i paplamy. Wiem, powinienem, powinniśmy ustalić konkretne plany powiązane z pracą nad moimi książkami, powinniśmy przede

wszystkim rozmawiać o terminach ich korekt i w ogóle o próbie ich wydania, a przede wszystkim o moim pisaniu, ile jest warte - a ja, popędzany jakimś instynktem - niestosownymi pytaniami nie daję spokoju kobiecie, bo, w swoich myślach, cofam się, cofam do przeszłości, do moich młodzieńczych lat...

- W jakich latach mieszkała pani w Gdyni?

- Mój ojciec zginął na morzu jak miałam cztery lata. To było dawno temu, aż wstyd mi się przyznać ile lat minęło...

- Pani Zofio... Czy, to może był początek lat siedemdziesiątych? Czy nie mieszkała pani z matką na trzecim piętrze przedwojennej gdyńskiej kamienicy? Czy pani mama nie miała czasem na imię Leokadia? - Leokadia Korneluk?

- Korneluk to moje panięskie nazwisko! Po mężu mam Hass – używam go, bo bardziej przydatne literacko. Ale, Korneluk to moje nazwisko rodowe – powtórzyła.

- Pani Zofio, przypomina Pani sobie? Po śmierci Pani ojca, mama postanowiła przyjąć do Waszego mieszkania lokatora. Zgłosił się wtedy młody chłopak – czeladnik krawiecki. Mama odstąpiła mu najładniejszy pokój, ale i tak, potem, wszyscy żyliśmy razem.

- Pioooo, Piotruś?! Jak boga kocham Piotruś! Kochaniutki Piotruś! Jak ja Ciebie wtedy kochałam! Przez Ciebie nie polubiłam nigdy ojczyma, ciągle buntowałam się... Piotrek! Ja pierniczę! Piotrek! Nikogo tak już nigdy... Ani ojczyma, ani męża... Piotruś! Ty wiesz, jaka byłam wtedy o matkę zazdrosna?! Podglądałam Was... Piotrek! - Zofia mimo swojej protezy, poderwała się z fotela i popędziła do zamkniętych do tej pory drzwi, ledwie je otworzyła była już z powrotem z lalką przy piersiach, ścisnęła ją niczym niemowlę... Piotr ją poznał... Jak ja Ciebie Piotruś zawsze kochałam...